

Alfred J. Church

OPowieści o Magach



Alfred J. Church
OPOWIEŚCI O MAGACH

Alfred J. Church

D POWIEŚCI O MAGACH

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce znajdują się obrazy wygenerowane przez fotor-ai

Tekst wg edycji:
Stories of the Magicians
by
Alfred J. Church
London 1887

Niniejszy tekst został przetłumaczony z języka angielskiego na język polski przy użyciu narzędzi automatycznych, w tym technologii sztucznej inteligencji. Tłumaczenie zostało następnie poddane redakcji wykonanej przez profesjonalną redaktorkę, która dokładnie przeanalizowała tekst, by zapewnić jego zrozumiałość i precyzję. Dodatkowo, redaktorka uzupełniła tekst o przypisy, które ułatwiają zrozumienie kontekstu kulturowego i merytorycznego.

Przekład, redakcja i opracowanie tekstu z wykorzystaniem i pomocą AI
— Oliwia Barańska—Adamus.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-7639-775-7

Przedmowa

Oriental Romances Southeya, *Thalaba the Destroyer* oraz *The Curse of Kehama*, są, jak sędzę, niemal zupełnie nieznanne młodszemu pokoleniu czytelników. Trzeba przyznać, że nie zyskały uznania ze względu na swoją formę metryczną, jednak charakteryzują się ogromną siłą wyobraźni i przekazują godny podziwu morał. Spróbowałem opowiedzieć te dwie historie prozą.

Dodałem także *Historię Rustema*, znacznie skróconą, zaczerpniętą z *Shah—Nameh*, czyli *Księgi Królów* Firdausiego. Korzystałem z tłumaczenia Julesa Mohla z języka perskiego, którego popularne wydanie w siedmiu tomach ukazało się pod redakcją Madame Mohl w latach 1876—1878. Przy opowiadaniu historii pozwoliłem sobie na pewną swobodę. Najważniejszą z nich usprawiedliwia, jak sędzę, autorytet pana Matthew Arnolda, który w swoim pięknym poemacie *Sohrab i Rustem* przedstawia ojca jako przekonanego, że dziecko zrodzone przez jego tatarską żonę jest dziewczynką. W wersji Firdausiego ojciec wie, że ma syna, ale nie może uwierzyć, że tak młody człowiek może być jego niezłomnym przeciwnikiem.

Alfred J. Church

Hadley Green, 21 września 1886 r.

Historia Thalaby

Spotkanie Magów

Dawno, dawno temu, w Arabii, istniało potężne stowarzyszenie magów. Dzięki pilnemu ćwiczeniu swoich umiejętności posiadli oni zaklęcia, które pozwalały im osiągnąć niemal wszystko, czego zapragnęli — nawet sprawić, by słońce zgasło w samo południe. Nie było granic dla niegodziwości, jakich się dopuszczali, a cały kraj cierpiał pod ich tyranią.

Magowie mieli swoje główne miejsce spotkań w ogromnej jaskini podmorskiej, zwanej Jaskinią Domdaniel.¹ To właśnie tam, w momencie rozpoczęcia tej opowieści, zebrali się, by naradzić się w sprawie niezwykle poważnego zagrożenia. Dzięki swej sztuce odkryli, że w Arabii narodziło się dziecko, które w przyszłości zniszczy ich oraz ich siedzibę — jeśli wcześniej nie zdołają go zgładzić. Dowiedzieli się również,

1 Domdaniel to legendarne miejsce, pojawiające się w literaturze, mitach i folklorze, szczególnie w związku z opowieściami o magach, czarownikach i złych duchach. Słowo pochodzi prawdopodobnie z arabskiego, choć w swojej literackiej formie stało się popularne dzięki romantycznym i orientalnym dziełom literackim XIX wieku, takim jak „Thalaba the Destroyer” Roberta Southeya.

że dziecko to jest synem Hodeiraha², arabskiego wodza żyjącego na pustyni.

Po uzyskaniu tej wiedzy przywódcy stowarzyszenia postanowili działać. Zebrali się, by drogą losowania wyłonić osobę, która wyruszy z misją zabicia Hodeiraha, jego żony oraz wszystkich dzieci. Wódz miał ich aż ośmioro, a ponieważ magowie nie wiedzieli, które z nich okaże się Niszczycielem, zdecydowali, że należy zgładzić wszystkie.

Los padł na jednego z członków stowarzyszenia, imieniem Okba. Bez zwłoki udał się, by wypełnić swoje zadanie, podczas gdy pozostali magowie czekali na jego powrót. Dzięki swoim umiejętnościom Okba mógł przenieść się w mgnieniu oka, dokądkolwiek zapragnął, dlatego reszta magów nie musiała długo czekać na wieści.

Trzej magowie siedzieli razem w jaskini — trzej najbardziej znani spośród nich: Khawla, czarownica, oraz Lobaba i Abdaldar. Przed nimi płonęło dziesięć płomieni, które wystrzeliwały ze skalistego dna jaskini i paliły się bez żadnego paliwa. Każdy płomień symbolizował jedno życie — jeden oznaczał życie Hodeiraha, drugi jego żony Zeinab, a pozostałe osiem — życie każdego z ich dzieci.

— Płońcie, płomień — zawołał Abdaldar. — Płońcie, póki ród Hodeiraha żyje!

Magowie patrzyli, jak płomień trzepoczą, przygasają i chwieją się.

2 Hodeirah to postać fikcyjna, pojawiająca się w orientalnych opowieściach, takich jak te zredagowane lub stworzone przez Alfreda J. Churcha czy Roberta Southeya. Jego rola zależy od kontekstu narracyjnego, ale zwykle jest związana z tematami przeznaczenia, walki dobra ze złem i bohaterstwa.

— Przeklęty on! — wykrzyknęła Khawla. — Przeklęta pochopna ręka Okby! Głupiec zawiódł — tylko osiem zgasło!

Po tych słowach Khawla zwróciła się do Teraph,³ wyroczni, którą magowie umieścili w jaskini. Miała ona formę głowy dziecka, spoczywającej na złotej płycie, na której wyryto imię złego ducha. Tylko oczy głowy były ożywione, a usta mogły mówić.

— Powiedz mi — rzekła Khawla — czy ogień, który zagraża rasie magów, został zgaszony?

Głowa odpowiedziała:

— Ogień wciąż żyje.

W tym momencie do jaskini wszedł Okba, trzymając w ręku sztylet ociekający krwią.

— Spójrz na płomienie, Okba — powiedziała Khawla. — Zobacz, jak wciąż płoną! Wiesz, że dopóki się choćby żarzą, wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Czy twoje serce cię zawiódło? Czy nie mogłeś ich zgładzić? Przeklęta niech będzie twoja słabość!

— Khawla — odparł Okba — powinnaś mnie znać lepiej. Osiem razy uderzyłem i za każdym razem trafiłem w cel. Nie było potrzeby drugiego ciosu. Ale gdy zamierzałem uderzyć po raz dziewiąty, otoczył mnie obłok, a moje oczy nie wi-

3 Teraph - W tradycji bliskowschodniej i biblijnej terafim (liczba mnoga od „teraph”) były domowymi bożkami lub posążkami, używanymi jako amulety lub obiekty kultu. W tej opowieści Teraph najprawdopodobniej symbolizuje magicznego strażnika lub istotę, która strzeże wejścia do jaskini czarowników. Jest to przeciwnik, który działa w służbie sił mroku. Ogień – to tutaj nie tylko żywioł, ale także symbol mocy magicznej i oczyszczenia. Khawla jest potężną przeciwniczką Thalaby. Można ją rozumieć jako personifikację sprytu i przebiegłości, a także lojalnej służebnicy czarowników.

działy już niczego. Uderzyłem w ciemno, lecz ostrze odbiło się ode mnie. Wtedy usłyszałem głos, który powiedział: „Przestań, synu zatracenia. Nie możesz zmienić tego, co zostało zapisane w księdze losu”.

Wtedy Khawla znów zwróciła się do wyroczni:

— Powiedz mi, gdzie ukrywa się nasz wróg.

Martwe usta odpowiedziały:

— Patrzę na morze i patrzę na ląd, ale chłopiec nie jest ani na morzu, ani na lądzie.

Lobaba zauważył:

— Chroni go moc potężniejsza od naszej. Ale spójrz! Jeden z płomieni płonie coraz słabiej! Spójrz, drzy! Gaśnie!

I rzeczywiście — gdy to mówił, dziewiąty ogień zgasł. Pozostał tylko dziesiąty, bladoniebieski płomień, który zdmuchiwał się chwiać na podłodze, jakby ciemność miała go pochłoniąć. Jednak ku zaskoczeniu magów płomień zaczął rosnąć. Powoli wypełnił miejsce, w którym wcześniej płonęło dziesięć ogni, a potem rozprzestrzenił się na całą jaskinię. Jego blask był tak silny, że oczy Terapha, które dotąd świeciły jasno, przy nim wydawały się nikłe, a twarze magów pobladły z przerażenia.

Khawla jako pierwsza odzyskała odwagę. Przywołała przywódcę złych duchów, które były jej sługami, i rzekła:

— Powiedz mi, Duchu, gdzie znajduje się chłopiec, którego życie tkwi w ogniu płonącym przed nami?

Duch odpowiedział:

— Nie mogę go widzieć ani na morzu, ani na ziemi. Zapytaj ducha wiernego Bogu — ja nie mogę ci odpowiedzieć.

Wtedy Khawla zawołała:

— Przyprowadźcie Hodeiraha!

Nie minęła chwila, a jej potężne zaklęcia sprowadziły ciało martwego Hodeiraha do jaskini. Leżał u jej stóp z nieskręplą jeszcze krwią na ranie, a w ręku wciąż ścisnął miecz, którym walczył w chwili śmierci.

— Czy jesteś w Raju? — zapytała Khawla. — Czy też jesteś pod tronem Allaha? Gdziekolwiek jesteś, usłysz mój głos i bądź mi posłuszny.

Po tych słowach zaczęła wymawiać zaklęcia tak przerażające i potężne, że samo niebo drżało, słysząc je. A gdy je mruczała, gałki oczne Hodeiraha zaczęły się poruszać, a jego usta — drżeć. Widząc, że jej zaklęcia działają, Khawla uśmiechnęła się z satysfakcją i zawołała:

— Hodeirahu, powiedz mi, gdzie jest twój syn?

Hodeirah jęknął i zamknął oczy.

— Mów! — krzyknęła Khawla. — Odpowiedz mi, albo będziesz żył setki lat w torturach!

Hodeirah zawołał:

— Boże, wybaw mnie od tej agonii!

— Mów! — wrzasnęła ponownie Khawla, podnosząc zmięte z ziemi i uderzając nią martwe ciało. Ale w tym momencie Allah usłyszał modlitwę Hodeiraha, a dusza zmarłego została uwolniona. Khawla pozostała z bezwładnymi zwłokami, na których mogła jedynie wyładować swój gniew.

Wtedy ogień, który płonął w jaskini, rozprzestrzenił się gwałtownie i owinął ciało płomieniami, pochłaniając zarówno ciało, jak i kości. Jedynie miecz pozostał nietknięty.

Khawla powiedziała:

— Chłopiec musi zostać zabity. Ale zanim to się stanie, trzeba go odnaleźć. Wylosujmy, kto podejmie się tego zadania.

Magowie wzięli strzały losu i trzymali je luźno w dłoniach, z ostrzami skierowanymi ku płomieniowi. Po chwili jedna ze strzał — ta, którą trzymał Abdaldar — zaczęła powoli obracać się w jego kierunku. W ten sposób los wyznaczył Abdaldara do zadania odnalezienia chłopca.

Jego misja była jasna: miał przeszukać każdy zakątek Arabii, odwiedzić każde plemię i nie zostawić bez sprawdzenia ani jednego samotnego namiotu, dopóki nie znajdzie dziecka.

Pozostawało jednak pytanie: jak rozpozna chłopca? Abdaldar miał na to plan. Na jego palcu znajdował się niezwykle pierścień, w którym osadzony był jeszcze bardziej niezwykle kamień. Kamień ten powstał z rosy, która zamarzała na początku świata i przez wieki leżała pod ciężarem gór Kaukazu, aż stała się tak błękitna jak bezkresne morze.

Z tym pierścieniem Abdaldar zbliżył się do ognia. Wypowiadając zaklęcia, sprawił, że iskra płomienia wniknęła w kamień pierścienia. Wiedział, że gdy położy rękę z tym pierścieniem na chłopcu, iskra wyjdzie z kamienia. Iskra ta, będąc częścią życia chłopca, natychmiast połączy się z tym, do czego należy.

Z takim planem Abdaldar rozpoczął swoje poszukiwania.

Aswad

Gdzie więc był Thalaba, że Duch nie mógł go zobaczyć ani na lądzie, ani na morzu? Kiedy Hodeirah i jego dzieci zostali zabici przez Okbę Maga, Zeinab uciekła na pustynię z Thalabą, jedynym synem, który jej pozostał, chłopcem w wieku około dwunastu lat. Była noc, a ona błąkała się, nie wiedząc, dokąd iść ani co powinna uczynić.

— Matko — powiedział Thalaba — powiedz mi, kto zabił mojego ojca?

— Nie wiem — odpowiedziała Zeinab. — Nie myślałam, że miał wrogów.

— Cóż, będę go ścigał po całym świecie. Już potrafię napiąć łuk ojca i wkrótce będę miał siłę, by wbić strzałę w jego serce.

— Wszystko to jest jeszcze w odległej przyszłości, mój synu. Teraz jesteśmy na pustyni.

Rozejrzała się dookoła, ale nie mogła dostrzec nawet jednego drzewa — tylko ciemnoniebieskie niebo zamykało ich ze wszystkich stron jak wielka kopuła. Pomyślała: „*Dlaczego zostaliśmy ocaleni? Umrzemy tu z głodu i pragnienia*” — i usiadła, zapłakawszy nad chłopcem.

Chwilę później chłopiec krzyknął ze zdumienia. Zeinab podniosła głowę i ujrzała przed sobą wielki pałac pośród lasu. Drzewa były tak okazałe, że nawet cedry Libanu nie

mogły się z nimi równać, a pałac był wspanialszy niż jakikolwiek, jaki kiedykolwiek wzniesiono w Egipcie, Babilonie czy Rzymie. Oboje weszli do lasu i szli dalej, aż w cieniu drzewa mimozy zobaczyli młodego mężczyznę leżącego na kanapie. Spał, lecz obudził się na dźwięk ich kroków i spojrział ze zdumieniem na przybyszów.

— Wybacz nam — rzekła Zeinab — nieszczęście uczyniło mnie śmiałą. Pomóż nam. Bóg błogosławi tym, którzy wspierają wdowy i sieroty.

— Dzięki Bogu — odparł młodzieniec — że znów słyszę ludzki głos. Ale powiedzcie, kim jesteście, że trafiliście do tego miejsca, którego żadna ludzka stopa nie dotknęła od wieków?

— Wczoraj — powiedziała Zeinab — byłam szczęśliwą żoną i matką. Dziś jestem wdową, a z moich dzieci pozostało mi tylko to jedno.

— Niebo z pewnością was tu skierowało — zawołał młodzieniec — i podniosło zasłonę, która przez wiele wieków ukrywała to miejsce przed oczami ludzi. Ale posłuchajcie mojej opowieści.

— Oto Raj Irem, który król Shedad zbudował w swej pysze. Za dni mojej młodości była to kraina gęsto zaludniona i bogata. Zamieszkiwało ją plemię Ad, słynące z odważnych synów i pięknych córek. Wówczas nazywałem się Aswad — jak dawno nie słyszałem już tego imienia! Byłem szlachetnie urodzony i posiadałem ogromne bogactwo. Mój ojciec miał sto koni w swych stajniach, a liczby wielbłądów nikt nie znał. Byliśmy potężni i zamożni, lecz niestety, czciliśmy bożków i sztydziłiśmy z proroków Boga, którzy wzywali nas do pokuty.

Król Shedad zapragnął stworzyć ogród na pustkowiu, piękniejszy niż Ogród Eden. Zamarzył, by pośrodku ogrodu wznosił się pałac przewyższający wszystkie budowle na ziemi. Kopalnie złota opróżniono, kamienie szlachetne sprowadzono z najodleglejszych krain. Użyto też hebanu — tajemniczego drzewa, które nie ma owoców ani liści, a rośnie pod ziemią, zdradzając swe istnienie tylko zapachem. Posadzono wszystkie znane światu kwiaty. Drzewa przesadzano dorosłe — król nie chciał czekać na ich wzrost. Wzdłuż ścieżek stały marmurowe posągi wodzów i bohaterów. Dziś to już bezkształtne bryły kamienia, lecz drzewa i kwiaty przetrwały dzięki naturze.

Kiedy pałac i ogród ukończono, nadeszła wielka susza. Trzy lata nie spadła ani kropla deszczu. Modliliśmy się do naszych bożków — bez skutku. W końcu król wysłał posłańca imieniem Kail na Czerwone Wzgórze w Mekce. W tym czasie prorok Houd, wysłannik prawdziwego Boga, ostrzegał nas:

— Odwróćcie się, ludzie Ad, od nadchodzącego gniewu!
Ale zlekceważyliśmy go.

W tym okresie mój ojciec zmarł. Zgodnie ze zwyczajem przywiązaliśmy jego ulubionego wielbłąda do grobu, by zdechł i czekał na pana w dniu zmartwychwstania. Pewnego dnia, przechodząc obok, spojrzął na mnie — wzrokiem głębokim, ciemnym, niemal martwym z głodu. Nie mogłem znieść tego widoku. Przeciąłem linę i wypuściłem go, sądząc, że nikt mnie nie widzi. Ale prorok Houd ujrzał to i powiedział:

— Błogosławiony jesteś, młodzieńcze. W dniu nawiedzenia Bóg wspomni o tobie.

I rzeczywiście — dzień ten się zbliżał. Pałac był ukończony. Król wydał rozkaz, by wszyscy przyszedli go oglądać. Tłumy rozbiły namioty na pustyni. Król wszedł na szczyt najwyższej wieży, a lud zawołał:

— On jest Bogiem! On jest Bogiem!

W swej pysze rozkazał sprowadzić proroka Houda. Przeprowadził go przez wszystkie dziedzińce, pełne marmurów, złota i klejnotów.

— Czy kiedykolwiek widziałeś coś podobnego? Powiedz, jaka jest wartość tych rzeczy?

Prorok odparł:

— O Shedadzie, tylko w godzinie śmierci człowiek może ocenić takie rzeczy.

Król zapytał:

— Czy znalazłeś coś złego w tej budowlu?

— Mury są słabe, bo Azrael, Anioł Śmierci, może wejść. Budowla nie chroni przed Lodowatym Wiatrem, przed którym nic, co żyje, się nie uchroni.

Król zbladł. Wtedy wskazał na tłum, który znowu wołał: „On jest Bogiem!” i zapytał:

— Czy nie mają racji?

Prorok nie odpowiedział. Spojrzał tylko na tłum i zapłakał.

W tej chwili rozległ się okrzyk radości:

— Posłaniec powrócił! Kail przyniósł błogosławieństwo!

Spojrzeliśmy w niebo — zawisła nad nami czarna chmura. Ludzie pobłogosławili nadchodzący deszcz. Kail opowiedział swą historię:

— Modliłem się w Mekce i zobaczyłem trzy chmury: białą, czerwoną i czarną. Głos z Nieba rzekł: „Wybierz jedną”. Wybrałem czarną — ciężką od deszczu.

— Dobrze wybrałeś — rzekł król. Ludzie zawołali: „Dobrze!” Lecz prorok Houd powstał i zawołał:

— Biada dzieciom Ad, bo śmierć weszła do jej pałaców! Uciekajcie przed gniewem, jeśli chcecie ocalić dusze!

Kilku poszło za nim. Reszta śmiała się i bluźniła. Gdy Prorok miał odejść, zawołał mnie:

— Aswadzie!

Zadrzałem. Powtórzył:

— Aswadzie!

Prawie poszedłem, ale bałem się śmiechu przyjaciół — zostałem.

Chmura ściemniała i się rozwarła — lecz nie spadł deszcz, tylko Lodowaty Wiatr Śmierci. Tysiące umarły. Król i jego lud zginęli. Ja jeden pozostałem. Wtedy rozległ się głos:

— Aswadzie, w dniu nawiedzenia Bóg cię nie zapomni.

Próbowałem uciec, ale niewidzialny łańcuch mnie zatrzymał. Trzeci raz usłyszałem Głos:

— Bądź zadowolony i błogosław Pana. Żałuj. Gdy dusza będzie gotowa, zapragnij śmierci — Azrael przybędzie.

I żyję tu od tamtej pory. Nie wiem, ile wieków minęło. Nie słyszę nic poza źródłem i drzewami. Moje szaty się nie starzeją, sandały nie zużywają. Ale jako grzesznik nie ośmielam się pragnąć śmierci.

Gdy skończył, Zeinab rzekła:

— Błogosławiony jesteś, Aswadzie. Pan, który cię ocalił, wezwie cię, gdy nadejdzie pora. O, gdyby Azrael przyszedł po mnie, gdy zapragnę umrzeć! Poszłabym w tej chwili do Hodeiraha i moich dzieci!

W tej chwili rozległ się łopot skrzydeł. Azrael stanął przy nich. Jego twarz była poważna, ale nie surowa.

— Zeinab — rzekł — twoja modlitwa została wysłuchana. Aswadzie, nadeszła twoja godzina.

Upadli na ziemię, błogosławiąc jego głos.

— Ja też! Ja też! — zawołał Thalaba. — O aniele śmierci, zabierz i mnie!

— Synu Hodeiraha — powiedział anioł — to nie jest twoja godzina. Zostałeś wybrany, by wypełnić wolę Niebios, pomścić ojca i dokonać najpotężniejszego dzieła, jakie wykona człowiek. Żyj i pamiętaj: *Przeznaczenie oddzieliło cię od ludzkości.*

W jednej chwili zniknął. A gdy Thalaba rozejrzał się dookoła, pałac i ogrody zniknęły. Został sam na pustyni.

Jak Abdaldar, mag, szukał Thalaby

Abdaldar podróżował po całej Arabii, szukając Thalaby. Przemierzał krainę za krainą, miasto za miastem, a nawet namiot za namiotem. Kiedy raniem otwierał oczy, pierwszą myślą było odnalezienie chłopca, a gdy kładł się spać — była to ostatnia rzecz, o której myślał. Nawet we śnie widywał go: często spotykał chłopców, których wygląd i zachowanie odpowiadały wyobrażeniu przeznaczonego mu młodzieńca. Ale gdy przykładał do nich pierścień, jego ogień nadal płonął — wiedział więc, że poszukiwania trwają.

W końcu, gdy rok miał się ku końcowi, dotarł do samotnego namiotu, którego sznury rozciągały się w gaju palmowym — niczym wyspa pośród pustyni. Zobaczył tam dziewczynę, która stała pod palmą, rozkładając fartuch, i patrzyła na chłopca wspinającego się na drzewo. Chłopiec trzymał się jednej ręki pnia, a drugą zrywał i rzucał na dół kłociszki daktyli.

Abdaldar zbliżył się do drzewa. Oparł się na lasce, a pot wystąpił mu na czoło — wyglądał jak czcigodny starzec, zmęczony całodzienną podróżą.

— Czy dasz mi trochę jedzenia? — zapytał.

Dziewczyna podała mu daktyle, które trzymała na kolanach, a chłopiec pobiegł do namiotu i przyniósł mu łyk wody. Wkrótce wyszedł gospodarz namiotu, imieniem Moath. Przywitał nieznanego i kazał rozłożyć dla niego posiłek. Zjedli

pod drzewem tamaryndowca — podano biały jak śnieg ryż, daktyle, figi oraz wodę ze studni. Dziewczyna przyniosła też wodę, w której moczyła kwaśny owoc tamaryndowca. Nikt, kto jej się napił, nie pragnął już wina — tak była orzeźwiająca. Zarumieniła się z radości, gdy nieznajomy ją pochwalił, i znów mu naląła. W tym czasie chłopiec przyniósł melona — kilka dni wcześniej zrobił w nim dziurę, którą zatkał woskiem. Teraz cały miąższ zamienił się w najsmaczniejszy napój. Podał go gościowi.

Abdaldar jadł z przyjemnością, opowiadając o swoich podróżach — w życiu odwiedził wiele krajów. Moath słuchał z zadowoleniem, a dziewczyna przysłuchiwała się uważnie, zbierając naczynia — zatrzymywała się jednak co chwilę, by nie przegapić żadnego słowa. Ale nikt nie słuchał tak pilnie jak Thalaba. To do niego podróżny zdawał się mówić najczęściej, choć z pozorną tylko życzliwością. Chłopiec siedział z szeroko otwartymi oczami i ustami, nie chcąc stracić ani słowa. Podszedł bliżej starca, a ten, jakby w geście zaufania, położył mu rękę na ramieniu.

W tej samej chwili z pierścienia wystrzelił ogień.

Abdaldar pobladł z radości — jego poszukiwania dobiegły końca. W tym jednak momencie Moath powiedział:

— Nadeszła pora modlitwy. Dokonajmy ablucji i chwalmy Pana.

Chłopiec przyniósł wodę ze studni, a wszyscy obmyli się zgodnie z prawem i pochylili głowy ku ziemi, modląc się. Abdaldar nie pochylił głowy — stał nad Thalabą ze sztyłem w ręku. Jednak zanim zdążył zadać cios, zawiął Samum — śmiercionośny wiatr pustyni. Moath, Thalaba i dziewczyna, Oneiza, nie poczuli go — byli pogrążeni w modlitwie.

Ale uderzył on Abdaldara, i gdy modlący się wstali, ujrzeli jego martwe ciało — z dłonią wciąż zaciśniętą na sztylcie.

Gdy mieli pochować maga, Thalaba dostrzegł pierścień na jego palcu.

— Widzisz, Oneizo? Zmarły miał pierścień. Czy powinniśmy pochować go z nim?

— Z pewnością — odparła. — Był złym człowiekiem, a wszystko, co posiadał, było złe.

— Ale zobacz, jak łapie światło słońca i je odbija. To cudowny kamień...

— Dlaczego to bierzesz, Thalaba? Czemu tak się temu przyglądasz? Może rzuci urok, który cię oślepi albo zatruje. Wrzuć to do grobu. Ja bym tego nie dotknęła.

— A na jego obwodzie są jakieś duże litery.

— Zakop to. Zakop.

— To nie są litery Koranu. Może w jakimś innym języku. Ten przeklęty człowiek mówił, że był podróżnikiem.

Wtedy z namiotu wyszedł Moath i zapytał:

— Co tam masz, Thalaba?

— Pierścień zmarłego. Może potrafisz, ojczcie, odczytać jego znaczenie?

— Nie, chłopcze. Litery nie są nam znane. Przysyp go piaskiem — człowiek niegodziwy nie nosi nic świętego.

— Nie, nie zakopujmy go. Może jakiś podróżnik kiedyś przybędzie i odczyta. Albo znajdziemy uczonego, który potrafi go zinterpretować.

— Lepiej ukryć go pod piaskami pustyni. Możliwe, że ten człowiek, którego Bóg uderzył tuż przed zbrodnią, był magiem, a te inskrypcje to język demonów. Słyszałem, że magowie zbierają się w jaskiniach Domdaniel, pod morzem.

— A ten, który chciał mnie zabić, był jednym z nich?

— Może. Może twoje imię zapisano w Księdze Losu jako Niszczyciela tych magów, i Bóg ocalił ci życie, byś mógł to dzieło wypełnić.

— Myślisz, że pierścień ma jakąś moc?

— Każdy klejnot, mówią mędrzy, ma moc. Niektóre ciemnieją w obecności trucizny, inne tępią ostrza, inne jeszcze odkrywają skarby albo pozwalają widzieć duchy.

— Ojczy, będę nosić ten pierścień.

— Pomyśl dobrze, Thalaba, co robisz.

— W imię Boga! Jeśli jego moc jest dobra — niech działa. Jeśli zła — Bóg i moja wiara w Niego ją uświęcą.

Założył więc złoty pierścień z dziwnymi literami. Następnie złożyli ciało Abdaldara w grobie i przysypali pustynnym piaskiem.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, gdy Thalaba poszedł dokończyć ablucji, zastał grób otwarty, a ciało — nagie. Piasku nie zmiotła wichura — rosa wciąż błyszczała na ziemi. Noc była tak spokojna, że z palm nie spadł ani jeden daktyl.

Kiedy Moath usłyszał tę historię, rzekł:

— Słyszałem o świętych miejscach, gdzie nie chcą ciał grzeszników. Może to jedno z nich. A może ten człowiek był tak przesiąknięty złem, że i niebo, i ziemia go odrzuciły. Lepiej opuśćmy to miejsce. Rozbijmy namiot. Zobacz — sęp już krąży. To będzie jego grób.

Obmyli się z nieczystości śmierci. Thalaba podciągnęła sznury namiotu, Moath go zwinął, a Oneiza wyprowadziła wielbłądy z gaju. Rosa zniknęła z ziemi, gdy opuścili Wyspę Palm. W południe, odpoczywając, widzieli ją w oddali — niczym żagiel na morzu. O zachodzie słońca zniknęła im z oczu. Rozbili namiot i poszli spać.

W środku nocy Thalaba poczuł, jak pierścień porusza się na jego palcu. Magowie z Domdaniel wyczuli, że pierścień trafił do niego, i wysłali ducha, by go ukradł. Chłopiec zawołał imię Boga, a Moath obudził się:

— Co się dzieje, Thalaba? Czy w namiocie są rabusie?

— Czy nie widzisz ducha?

— Widzę blask księżyca, widzę ciebie i twój cień, ale nic więcej.

Thalaba przemówił do ducha:

— Duchu, co cię tu sprowadza? W imię Boga, odpowiedz.

— Przyszedłem po pierścień.

— Kto zabił mojego ojca?

— Okba, mag.

— Gdzie mieszka?

— W jaskini Domdaniel pod morzem.

— Dlaczego zginął mój ojciec i jego dzieci?

— Bo wiedzieliśmy, że Niszczyciel zrodzi się z rodu Ho-deiry.

— Przynieś mi miecz ojca.

— Otacza go ogień. Ani duch, ani mag nie może go dosięgnąć.

— Przynieś łuk i strzały.

Moath i Oneiza, stojąc wewnątrz namiotu, słyszeli słowa Thalaby, ale nie słyszeli ducha — jego głos był zbyt delikatny. Nagle rozległ się brzęk strzał i ujrzeni pełny kołczan u jego stóp oraz łuk w ręce. Chłopiec uśmiechnął się i napiął cięciwę. Potem znów przemówił:

— W imię Boga rozkazuję tobie i wszystkim twoim towarzyszom — nigdy więcej nie niepokójcie tego namiotu!

I od tej godziny żaden zły duch już się w nim nie pojawił.

Jak Thalaba wyruszył na swoją misję

Thalaba żył w spokoju w namiocie Moatha przez około cztery lata, aż osiągnął męską siłę i wzrost. Potrafił napiąć łuk swego ojca, używając całej mocy. Był wysoki i zgrabny. Rzeczywiście, nie było w całej Arabii przystojniejszego ani silniejszego młodzieńca.

Moath kochał go jak syna. Wiele lat wcześniej znalazł go na pustkowiu, płaczącego za matką, i zlitował się nad nim. Jednak gdy usłyszał jego cudowną opowieść i poznał cel, ku któremu skierowane było serce chłopca, współczucie przerozdziło się w szacunek. Opiekował się Thalabą z taką troską, jakby powierzono mu święty obowiązek od Boga.

Moath kochał Thalabę jak ojciec syna, Oneiza zaś kochała go jak siostra brata. Thalaba odwzajemniał ich uczucia. Gospodarz namiotu nie był ani bogaty, ani biedny — Bóg obdarzył go dostatkiem, a jego umysł był spokojny. Miał wielbłądy, o które dbał Thalaba, oraz kozy, które doiła Oneiza. Ich ubrania powstawały dzięki zręcznym palcom służącej. Żyli szczęśliwie, nie pragnąc niczego z zewnątrz.

Jednak w głębi serca Thalaba nie zaznał zadowolenia — stale myślał o zadaniu, do którego został powołany, i niecierpliwie wyczekiwał chwili, gdy będzie mógł się go podjąć. Często śniło mu się, że nadszedł czas, że podnosi rękę, by

uderzyć mordercę ojca, i że trzyma dłoń na mieczu otoczonym płomieniem.

Pewnego dnia on i Oneiza bawili się łukiem Hodeiraha, gdyż dziewczyna nabrała już dość siły, by go napiąć, i potrafiła posłać strzałę wysoko w powietrze — tak daleko, że oko ledwie mogło śledzić jej lot. Gdy spojrzął, rzekł:

— Kiedy nadejdzie pora, bym użył tych strzał i pomścił ojca? Czyż nie jestem już dość silny? A może wola Niebios uległa zmianie i nie zostaną wezwany?

— Niecierpliwy chłopiec — powiedział z uśmiechem Moath.

— Niecierpliwy Thalaba! — powtórzyła Oneiza, również się uśmiechając, lecz z pewnym smutkiem.

W tym właśnie momencie nad ich głowami przeleciała chmara szarańczy, lecąc na wschód — z Syrii.

— Spójrzcie — rzekł Moath — spójrzcie, jak wszystko posłuszne jest swojemu przeznaczeniu! Wypełniły swą wyznaczoną pracę, pożerając pola ludzi za ich grzechy, a teraz podążają do swoich grobów. Tak jak ptaki, które lecą nad nimi, przerzedzają je w locie i radują się uczcą. Czy sądzisz, jak niektórzy, że te ptaki, które witamy jako niszczycieli szarańczy, są sprowadzane czarami kapłanów? Nieprawda. Bóg zsyła szarańczę, by karać, i Bóg zsyła ptaki, by nas od niej wybawić, gdy przyjdzie czas.

Tymczasem Oneiza spojrziała w górę, gdzie jeden z ptaków przelatywał właśnie nad jej głową. W tej chwili wypuścił szarańczę ze szponów, a ta spadła na jej szatę. Piękne to było stworzenie — z trawiastozielonym ciałem, podwójnymi parami skrzydeł, czarnymi jak smoła oczami i lśniącem napierśnikiem. Gdy dziewczyna przyglądała się mu uważnie, dostrzegła na jego czole tajemnicze znaki.

— Spójrz, ojcze! Czy wiesz, co tu jest napisane? — zawołała. A do Thalaby: — Spójrz! Może te linie są zapisane w języku pierścienia.

Thalaba pochylił się i spojrział. Po chwili jego policzki poczerwieniały, a on cofnął się, gdyż wersy były wyraźne i czytelne:

Kiedy słońce zaćmi się w południe, odejść, synu Hodeiraha.

Moath i Oneiza byli zaniepokojeni, ale Thalaba się radował. Od tej pory codziennie w południe obserwował niebo. W międzyczasie wykonywał nowe bełty do swoich strzał i ostrzył ich groty.

— Czyżbyś znudził się namiotem? — zapytał Moath.

— Nieprawda — odparł Thalaba — ale pójdę wypełnić swoje zadanie, a potem wrócę i już nigdy cię nie opuszczę.

Gdy Thalaba mówił, Oneiza spojrzała znów na słońce i ujrzała — albo sądziła, że ujrzała — ciemną plamkę. Była tak mała, że nikt inny jeszcze jej nie dostrzegł; lecz oczy Oneizy, wyostrzone miłością, zauważyły ją bez trudu. Plamka rosła i rosła. Thalaba wziął kołczan na ramię, chwycił łuk i przygotował się do drogi.

Już połowa słońca była zakryta. Dzień znów zaczął ciemnieć, ptaki szykowały się do snu, a nocny ptak — sowa — wzbijała się w powietrze. Oczy hien zalsniły w mroku.

— Żegnaj, ojcze mój! Żegnaj, Oneizo! — powiedział Thalaba.

— Czy nie poczekaś na znak, który wskaże ci drogę? — zapytał Moath.

— Bóg mnie poprowadzi — odparł Thalaba i odszedł w ciemność. Słyszeli jego kroki i grzechot kołczanu na ramieniu.

Nie odszedł daleko, gdy w ciemności dostrzegł niewyraźny kształt. Stopniowo stawał się on jaśniejszy, aż rozpoznał postać i twarz swojej matki.

— Idź — powiedziała — do Babilonu i proś Aniołów o talizman.

Duch zbliżył się do niego, jakby chciał dać mu matczyzny pocałunek, a Thalaba rzucił się naprzód. Ale wszystko, co poczuł, to wiatr muskający jego policzek, a wszystko, co widział — to ciemność.

— Matko, matko! — zawołał. — Pozwól mi znów cię zobaczyć!

— Zobaczysz mnie — odparła — w godzinie śmierci.

Potem znów wzeszło słońce, a ciemność się rozwiąła. Thalaba ruszył dalej, pełen nadziei i oczekiwania na wielkie czyny. Myślał też, że pewnego dnia powróci do namiotu Moatha, a w każdej z jego myśli obecna była Oneiza.

O zachodzie dotarł do studni, nad którą pochylało się drzewo akacjowe. Tam dokonał ablucji, odmówił modlitwę, a następnie wyjął zapasy jedzenia. Gdy jadł, nadjechał na wielbłądzie podróżny. Przywitał Thalabę uprzejmie, usiadł obok i dotrzymał mu towarzystwa przy posiłku.

Nieznajomy był stary, ale silny — ledwie wspierał się na lasce. Miał bystre, przenikliwe oczy i długą, kręconą brodę. Był dobrze wychowany, uprzejmy, a jego słowa pełne były mądrości i wiedzy. Trudno byłoby sobie wyobrazić przyjemniejszego towarzysza w podróży.

W rozmowie Thalaba zapytał:

— Dokąd się udajesz?

— Do Bagdadu — odpowiedział starzec.
Oczy Thalaby rozbliły radością.
— Ja także. Czy mogę ci towarzyszyć?
— Z przyjemnością — odparł starzec.
Potem rozmawiali dalej:
— Jesteś bardzo młody, by wyruszać w podróż.
— Nigdy nie wyszedłem poza pustynię.
— Zmierzamy do szlachtetnego miasta. Zobacysz tam wspaniałe pałace i meczety oraz bogate bazyry, na które kupcy zwożą całe bogactwa świata.
— Czy Bagdad nie leży niedaleko starożytnego Babilonu?
— Tak, lecz to długa droga.
— A ruiny?
— Jest ich wiele — dość, by przypomnieć, jak wielcy byli nasi ojcowie w porównaniu z nami.
— Czyż aniołowie Harut i Marut nie pokutują w Babilonie?
— Istnieje taka opowieść. Ale ignorancja często bierze bajki za prawdę. Co słyszałeś o tych aniołach?
— Słyszałem, że aniołowie rozmawiali w niebie o upartości człowieka, który mimo znaków i proroków nie chciał pokutować. Uznali, że zasługuje na wieczne potępienie. Bóg dostrzegł ich pychę i zesłał dwóch z nich, by sędzili ludzi. Początkowo czynili to sprawiedliwie, lecz gdy stanęła przed nimi piękna kobieta, zostali skuszeni. Poprosiła ich, by wyjawili imię Boga. Uczynili to — i w jednej chwili została uniesiona do nieba i oskarżyła ich przed tronem Najwyższego. Nie mieli obrony. Błagali tylko, by kara nie była wieczna, lecz zakończyła się oczyszczeniem.

— A pewnie słyszałeś też, że ich kara odbywa się w Babilonie, gdzie czarownicy polują na anioły i zmuszają je do wyjawiania sekretów magii?

— Czy to nieprawda?

— Czy nie widziałeś nigdy, jak znajomy kształt w mroku zmienia się w coś dziwnego?

— Wiele razy.

— Takie rzeczy, widziane przez mgłę błędu, straszą ludzi.

— Ale czy w Księdze nie ma zapisu o Harucie i Marucie?

— Bóg często uczy nas poprzez przypowieści.

— A miejscem ich kary jest Babilon?

— Tak, tam ich znajdziesz. Ale na dziś wystarczy. Nadchodzi noc, jestem stary, a moje oczy stają się ciężkie. Jutro będzie czas na dalszą rozmowę. Pokój z tobą, mój synu.

Jak Thabala radził sobie w swojej podróży

Stary podróżnik owinął się płaszczem i położył spać. Thalaba również ułożył się do snu. Przez chwilę patrzył jeszcze na księżyc świecący przez liście akacji, po czym zasnął. Jego towarzysz tylko udawał, że śpi, bowiem był to Mag Lobaba, który przybył z jaskiń Domdaniel, aby — jeśli to możliwe — zabić Niszczyciela.

Gdy po długim, równomiernym oddechu młodzieńca zorientował się, że ten zasnął, Lobaba podniósł się bezszelestnie i pochylił nad nim, przyglądając mu się uważnie. W sercu przeklął pierścień Abdaldara, który zapewniał Thalabie bezpieczeństwo. Pierścień połyskiwał na jego palcu, gdy chłopiec leżał z głową opartą na ramieniu, a blask księżyca odbijał się od klejnotu. Czarownik wyciągnął rękę, by go zabrać, lecz nie zdołał. Wezwał więc służące mu diabły i rozkazał im okraść śpiącego młodzieńca, ale i one okazały się bezsilne. W końcu, pełen złości i zmieszania, położył się z powrotem. Siła mu nie pomogła — musiał posłużyć się podstępem i pokusą.

Poranne słońce padło na twarz Thalaby i obudziło go. Wstał, owinął się płaszczem, dokonał ablucji i odmówił modlitwy, po czym przepasał biodra na całodzienną wędrówkę. To samo uczynił Mag, obrażając Boga pustym pokazem czci.

Napełnili bukłaki wodą przy źródle, napoili wielbłąda i ruszyli w drogę.

— Czy to prawda — zapytał Thalaba — że magowie przychodzą do aniołów w Babilonie, aby poznać sekrety swojej złej sztuki?

— To i prawda, i fałsz.

— Co masz na myśli?

— Wszystkiego można użyć na dwa sposoby. Ogień grzeje nas przy palenisku, ale może też spalić dom; słońce sprawia, że dojrzewają owoce i zboża, lecz może wywołać gorączkę; żelazo służy myśliwemu, ale w rękach mordercy staje się zabójczą bronią.

— I co z tego?

— Nic nie jest z natury dobre ani złe — wszystko zależy od tego, jak się tego używa. Wszyscy szanują lekarza, lecz są i tacy, którzy wykorzystują swoją wiedzę, by zatruć kielich podany przyjacielowi. Czy to oznacza, że sama umiejętność jest zła?

— Byłoby głupotą tak uważać.

— O, jakże szlachetnym stworzeniem byłby człowiek, gdyby znał swe moce i pozwolił im się rozwijać! Koń słuca jego woli, wielbłąd niesie go przez pustynię, gołąb roznosi jego wiadomości. Człowiek zadowala się kilkoma posłusznymi mu stworzeniami, choć mógłby mieć niezliczone Duchy gotowe mu służyć.

— Ale jak? Przecież tylko przez przymierze z Piekłem, które wiąże duszę ze śmiercią.

— Czy Salomon był przeklęty przez Boga? Czyż ptaki nie czyniły mu baldachimy ze swych skrzydeł, gdy im rozkazał? Czyż dżinny⁴ nie wznosiły dla niego Świątyni?

— Bóg obdarzył go mądrością jako nagrodą za jego dobroć.

— Tak, ale Bóg zawsze daje mądrość jako nagrodę za naukę. To studnia, z której każdy może pić, lecz niewielu kopie wystarczająco głęboko. Wszystkie moce, które Bóg dał człowiekowi, są mu dostępne, jeśli tylko człowiek potrafi je pojąć. Wiedza zakazana została umieszczona poza jego zasięgiem. Ci, którzy uczą się tajemniczej mądrości od aniołów w Babilonie, nie czynią nic złego.

— Znasz jakieś ich sekrety?

— Ach, synu mój, wiem tylko tyle, by widzieć, jak wielka jest moja niewiedza. Mój wiek przeznaczyłem na naukę, lecz mogę tylko żałować beztroskiego lenistwa młodości. Znam właściwości ziół i niejednokrotnie przynosiłem ulgę cierpiącym, błogosławiony przez Tego, bez którego błogosławieństwa nic nie zadziała. Znam się też trochę na klejnotach.

— Czy potrafisz odczytać, co zapisano na tym pierścieniu?

— Mam słaby wzrok. Pozwól, że przyjrzę się bliżej.

4 Są to duchowe istoty stworzone z „bezdymnego ognia” (według Koranu) i istnieją w świecie równoległym do świata ludzi. Są obdarzone wolną wolą, co oznacza, że mogą być dobre, złe lub neutralne. Geniusze bywają przedstawiani jako istoty mogące pomagać lub szkodzić ludziom. W literaturze i mitologii mogą symbolizować ukryte siły, wyzwania lub wsparcie, jakie człowiek może napotkać w swojej podróży duchowej lub życiowej. Mogą być strażnikami ukrytej wiedzy, skarbów lub mocy, a także symbolami wewnętrznych konfliktów bohatera.

Thalaba, nie podejrzewając niczego, miał już zdjąć pierścień z palca, gdy osa usiadła na jego dłoni i użądliła go. Skóra wokół pierścienia zaczerwieniła się i rozgrzała. Mag, ponownie zdezorientowany, rozpoznał rękę Niebios i bluźnił w duchu. Wtedy obmyślił inny plan.

W południe unosiła się mgła. Przez pewien czas Słońce wskazywało im drogę, a chłodne powietrze sprawiało, że podróż była przyjemna. Wkrótce jednak stracili orientację. Nad dziczą zawisła gęsta, nieprzenikniona masa chmur.

— Znasz ten szlak? — zapytał Thalaba. — Czy poczekamy, aż wiatr rozwieje mgłę?

— Idźmy dalej — odpowiedział Mag. — Jeśli zbłądzimy, Słońce jutro wskaże nam właściwą drogę.

Weszli więc głębiej w pustynię. Tej nocy spali w ciemności, a rano Thalaba, budząc się, nie wiedział, w którą stronę się zwrócić do modlitwy.

— Czy iść dalej — rzekł Lobaba — czy czekać? Jeśli pójdziemy, możemy zabłądzić jeszcze bardziej. Jeśli zostaniemy, może zabraknąć jedzenia i wody.

— Idźmy — odpowiedział Thalaba. — Może natrafimy na namiot albo gaj palmowy. Czekanie oznacza śmierć.

Mag poprowadził młodzieńca jeszcze głębiej w pustynię. Mgła wciąż ich otaczała — była obecna w nocy, gdy kładli się spać, i rano, gdy się budzili. Bukłak z wodą stawał się coraz lżejszy, mimo oszczędnego użycia.

Trzeciej nocy Thalaba, śpiąc niespokojnie, słyszał odgłos szalejących wichrów. Lecz gdy się obudził, zapanowała znów cisza. Minął kolejny dzień. Bukłak był pusty.

Wtedy podróżnicy usłyszeli dźwięk budzący nadzieję — szum wiatru. W ciągu kilku minut mgła rozviała się i ujrzeli niebo. Ale jakąż to była scena! Nie było ani studni, ani

palmowego gaju, ani namiotu. Wielbłąd leżał, z wycieńczenia niemal nieruchomy.

W największej rozpaczycy dostrzegli nagle zieloną łąkę usianą kwiatami. Wielbłąd, ożywiony widokiem, ruszył naprzód. Lecz gdy dotarli, okazało się, że to tylko gorzkie zioła — goździki i senesu.

— Synu — rzekł Lobaba — musimy zabić wielbłąda, inaczej zginiemy. Twoja młoda ręka jest silna — wyciągnij nóż i zrób to.

Nikt, kto widział cierpiącą twarz starca, suche usta i gorączkowe oczy, nie pomyślałby, że nic nie czuje. Tak silna była jego magia. Thalaba zawahał się, lecz widząc cierpienie towarzysza i zwierzę leżące u jego stóp, nie wahał się dłużej. Wyciągnął nóż i przeciął gardło wielbłąda. Z żołądka zwierzęcia uzyskali odrobinę wody — starczyło na jeden dzień.

Potem wszystko się wyczerpało, a nie było chmur ani nadziei na deszcz.

— Pozwól, że spojrzę na pierścień — powiedział Lobaba. Ujął dłoń Thalaby i długo przyglądał się napisowi.

— O! Co za radość! Ktokolwiek nosi ten kamień, może rozkazywać dżinnom. Zawołaj je, synu! Niech nas uratują!

— Nie — odparł Thalaba. — Czy mam nie ufać mojemu Bogu? Jeśli On nas nie ocali, dżinny również nie pomogą.

Gdy to mówił, Lobaba spojrział w dal z przerażeniem. Thalaba również spojrział — zobaczył czerwone kolumny piasku pędzące w ich stronę. Pierwsza z nich rozpadła się, rozrzucając żarzący się piasek.

— Ratuj nas! — krzyknął czarownik. — Ratuj nas przez Pierścień!

Thalaba patrzył z podziwem i zdumieniem, nie odpowiadając.

— Dlaczego czekasz?! — zawołał starzec. — Jeśli Bóg nie ratuje, wezwij Moc, która to zrobi!

— Ach! Teraz cię znam, przeklęty czarowniku — odrzekł Thalaba. — Przyprowadziłeś mnie tutaj, mając nadzieję, że ze strachu przed śmiercią zaprzędam duszę grzechowi.

— Głupcze! Wezwij tego, którego imię jest na Pierścieniu — albo giń!

— Umrzyj.

Załoczył strzałę na cięciwę, napiął łuk i wypuścił. Strzała trafiła czarownika w pierś, ale grot się stępił. Lobaba uśmiechnęła się z ironią.

— Próbuje dalej swych ziemskich sił. Moc, której służę, nie opuszcza swoich wyznawców, jak czyni to Ten, którego ty czcisz.

Wypowiedziawszy te słowa, przywołał magicznym gestem rydwan, który zstąpił z powietrza. Wsiadł na niego i zawołał:

— Chodź! Byłeś moim towarzyszem podróży — wciąż mogę cię uratować. Wsiądź, a będziesz bezpieczny!

Thalaba nie odpowiedział. Rozejrzał się tylko i zobaczył kolejną kolumnę piasku pędzącą przez pustynię. Uderzyła w Lobabę siedzącego w rydwanie i zabiła go. Thalabę, który rzucił się twarzą ku ziemi, ominęła bez szkody.

Co Thalaba zobaczył w Babilonie

Thalaba podniósł się z ziemi i pochylił głowę w modlitwie. Gdy ją uniósł, niebo zasnuły chmury, które wkrótce spadły w postaci deszczu. Odsłonił głowę, wyciągnął ręce ku niebu i poczuł się odświeżony. W tej chwili usłyszał głośny, przyspieszony oddech. Spojrzał w górę i zobaczył tygrysa przebiegającego obok, z nisko zwieszoną głową i suchym językiem wywieszonym z pyska.

Thalaba wiedział, że zwierzę szuka wody, i podążył za nim w pewnej odległości. Wkrótce ujrzał, jak tygrys pochyła się i zaczyna pić. Pelikan zbudował gniazdo na pustkowiu i przyniósł wodę dla swoich młodych, które pływały i zanurzały głowy w kąpeli. Gdy tygrys się zbliżył, ptaki stłoczyły się pod skrzydłami matki. Zwierzę piło, ale nie zrobiło im krzywdy. Matka—ptak nie bała się tygrysa, bo był on stałym, dobrze znanym gościem.

Jednak gdy zbliżył się człowiek, ptak zagroził mu, wyciągając szyję i zasłaniając młode skrzydłami — przejęty strachem o ich życie. Thalaba napił się wody, napełnił bukłak, ale zostawił jeszcze dość dla pelikana i jego piskląt. Odchodząc, pobłogosławił ptaka—strażnika pustyni oraz Jego, Wspólnego Ojca, który zapewnia byt wszystkim swoim stworzeniom.

Następnie ruszył w drogę, pełen nowej siły i pewności siebie.

Po wielu dniach trudu dotarł do Bagdadu. Mimo całego przepychu i bogactwa, choć kupcy Wschodu i Zachodu spotykali się na jego bazarach, a długie zastępy obładowanych wielbłądów ustawiały się wzdłuż ulic, choć Tygrys niósł floty statków swoim nurtem — Thalaba nie zatrzymał się ani na chwilę. Pogardzał wszystkim, co mogłoby opóźnić moment, w którym, wracając z poszukiwań, zawiesi miecz Hodeiry na filarze namiotu Moatha.

Zanim wzeszło słońce, minął bramy miasta, a ostatnie promienie zachodzącego dnia były już na horyzoncie, gdy dotarł do ruin Babilonu. Było to odludne miejsce: skorpion wygrzewał się na dziedzińcu pałacu, a wilczyca ukryła swoje młode w ruinach świątyni. Arab nigdy nie rozbijał namiotu w obrębie murów, a pasterze omijali je z daleka.

Thalaba szedł ostrożnie, wyczuwając ziemię przed sobą, aż dotarł do miejsca, gdzie nie mógł już iść dalej — ruiny zamknęły go z każdej strony. Oparł się o złamaną kolumnę, zastanawiając się, co dalej. Wkrótce usłyszał zbliżające się kroki i, odwracając się, ujrzał w świetle księżyca mężczyznę w pełnej zbroi, który kierował się ku niemu.

— Kim jesteś — zapytał nieznajomy — że o takiej porze błąkasz się po takim miejscu? Czy jesteś podróżnikiem, który zgubił drogę? Złodziejem, który ukrywa łupy? A może magiem, który zaklęciami zmusza ruiny do wydania ukrytych skarbów?

— Nie jestem ani podróżnikiem, ani rabusiem, ani magiem — odparł Thalaba. — Szukam aniołów, Harutha i Marutha. A ty, Nieznajomy — dlaczego tu jesteś?

Żołnierz, wyniosły i nieustraszony, nie okazał zniecierpliwienia wobec chłopca.

— Czy wiesz — powiedział — co było przyczyną ich kary?

— Próbowałem się tego dowiedzieć, ale na próżno.

— Czy masz odwagę podążyć niebezpieczną ścieżką?

— Prowadź!

— Młody Arabie, jeśli twoje serce bije równo w niebezpieczeństwie, jeśli nie boisz się tego, co drży przed innymi, jeśli możesz bez lęku spojrzeć na to, przed czym nawet doświadczony wojownik się cofa — pójdź za mną, gdyż zmierzam do jaskini.

— Prowadź — powiedział ponownie Thalaba.

Nieznajomy nazywał się Mohareb.⁵ Wyruszyli razem. Gdy szli, rozlegał się dziwny dźwięk. Nie był to wiatr, gdyż długie włosy Thalaby spoczywały nieruchomo na jego ramionach. Nie był to też ryk rzeki spadającej wodospadem — Eufrat płynął spokojnie przez równinę. Dźwięk dochodził z czarnych, wrzących źródeł, które wznosiły się w wielkim jeziorze bitumicznym.

Szli wzdłuż jego brzegu, aż dotarli do jaskini, z której wypływała czarna struga. Mohareb zwrócił się do Thalaby:

— Czy odważysz się tam wejść?

— Prowadź — powiedział Thalaba po raz trzeci i wszedł do jaskini.

5 Mohareb to zbrojny przeciwnik, który również stoi na straży celu Thalaby. Jego imię można tłumaczyć jako „wojownik” lub „wróg” (w języku arabskim „muharib” oznacza wojownika lub tego, kto bierze udział w walce). W narracji jest uosobieniem bezpośredniego zagrożenia, z którym Thalaba musi się zmierzyć, aby osiągnąć swój cel.

Spis treści

Przedmowa	5
Historia Thalaby	7
Spotkanie Magów	7
Aswad	13
Jak Abdalдар, mag, szukał Thalaby	19
Jak Thalaba wyruszył na swoją misję	24
Jak Thabala radził sobie w swojej podróży	30
Co Thalaba zobaczył w Babilonie	36
Raj grzechu	42
Jak Oneiza została uratowana i stracona	49
Wyzwolenie Thalaby	54
Magiczna nić	59
Leila	67
Sanie i łódź	74
Zagłada	79
Historia Rustema	86
O Zalu, ojcu Rustema	86
Pierwsze wyczyny Rustema	95
Rustem i jego koń Raksh	99
Rustem walczy z Afrasiabem	104
Jak król Kaous wyruszył na Ziemię Dżinnów	110

Siedem przygód Rustema	116
Siedem przygód Rustema (ciąg dalszy)	123
Sohraba	134
Ostatnie zwycięstwo Rustema	162
Śmierć Rustema	173
Historia Kehamy	178
Klątwa	178
Kamień	182
Ladurlad	188
Starożytne Grobowce	192
Schronienie	199
Zagłada	205

